

ŻYCIE W WYPRZEDAŻY

tekst: Jerzy Paweł Listwan

Co ma większą wartość: powietrze czy diamenty?

David Korten

Co byś powiedział, gdyby ktoś przyszedł i powiedział, że chce odkupić twoje prawo do powietrza, którym oddychasz? Że jest zdecydowany i prosi tylko, żebyś podał sumę? A gdyby jeszcze dodał, że w zasadzie nic nie tracisz, bo pozwoli ci dalej z niego korzystać – chodzi tylko o to, żeby powietrze należało wyłącznie do niego?

Nieszkodliwy wariat? Już prawie jesteś gotów przyjąć ten niespodziewany przypływ gotówki, kiedy odzywa się przeczulona wyobraźnia: a jeśli właściciel zacznie kiedyś pobierać opłaty za oddychanie „jego” powietrzem? A jeśli, co gorsza, dojdzie do wniosku, że może je zużyć w celach, które przyniosą mu więcej zysku niż opłaty od użytkowników takich jak ty? Przecież prawo (prawo własności) będzie po jego stronie.

Prywatyzacja powietrza wydaje się jeszcze absurdem, ale do niedawna takim samym absurdem wydawała się prywatyzacja wody. Dziś jest to fakt, w jednych krajach nastrożający drobnymi przykrościami milionom płatników rachunków za wodę (prywatne wodociągi muszą nie tylko w pełni pokryć koszty, ale i osiągnąć zysk), w innych wywołujący tragedie. W RPA, gdzie wprowadzenie rynkowych stawek za dostarczanie wody i konsekwentne odcięcie dostaw dla rodzin, które nie nadążają z płaceniem rachunków doprowadziło do wybuchu epidemii cholery. W Boliwii (Cochabamba) władze zacierały ręce, kiedy usługi wodociągowe wzięło na siebie prywatne konsorcjum, włącznie z wyłącznością na pobór wody. Mieszkańcom nie było wolno nawet na własną rękę gromadzić deszczówki. Wybuchła rewolta. W obronie korporacyjnej własności wystąpiła państwowa policja. Mieszkańcy nie

ustąpili. Nawet wtedy, kiedy pojawili się zabici i ranni. Zrozumieli, że walka o wodę to naprawdę walka o życie dla nich wszystkich. W końcu prywatna firma się wycofała, a gospodarkę wodną powierzono ciału społecznemu. Wbrew logice rynku. Czyżby istniały sytuacje, w których teoria ekonomiczna, jasna i logiczna jak matematyka, traci zastosowanie?

Chór ekonomistów, a za nimi politycy i media, powtarzają, że najlepsza, może wręcz jedyna recepta na rozwój gospodarczy to postępujące otwarcie rynków międzynarodowych i zniesienie wszelkich barier dla przepływu kapitału. Dzięki temu kapitał może się kumulować i trafiać tam, gdzie będzie wykorzystany najefektywniej. Rządy państw, małych i dużych, głowią się, jak „przyciągnąć inwestorów”, jak sprawić, żeby globalny kapitał rozwijał gospodarkę właśnie ich kraju, zapewniał miejsca pracy, dopływ nowoczesnych produktów i ewentualnie wpływy do budżetu.

Na czym jednak polega ów rozwój? Jak działa gospodarka? Skąd się bierze bogactwo? I wreszcie, pytanie podstawowe dla rozważań ekonomicznych:

Co właściwie stanowi kapitał?

Kiedy mówimy „kapitał”, często myślimy: „pieniądze”. Mówi się o różnych formach kapitału – nieruchomości, maszyny i urządzenia, know-how, surowce, kapitał ludzki i – kapitał finansowy. Czyżby?

Peniądze, same w sobie, nie mają wartości. Ich wartość wynika jedynie z powszechnej umowy, że można je wymieniać na dowolny towar. I bez względu na to, ile ich banki wypuszczą w obieg, ich wartość zależy od tego, czy

istnieje to, co chcemy kupić, to, czego rzeczywiście potrzebujemy: nieruchomości, wiedza, siła robocza... Nawet to wszystko jednak nie miałyby żadnej wartości, gdyby nie to, co bierzemy z otoczenia – bogactwa naturalne. To, na czym opiera się gospodarka przyrody od zarania życia na Ziemi. Gospodarka ludzka polega w istocie tylko na przekształcaniu i wykorzystywaniu do własnych potrzeb tego, co zastaliśmy, a co ekonomista E. F. Schumacher, autor książki *Małe jest piękne* określił jako:

Kapitał naturalny

Rzadko zastanawiamy się nad tym, że nasze życie jest bez reszty zależne od uczestnictwa w skomplikowanych systemach, łączących glebę, wodę, słońce i tysiące gatunków żywych istot. Człowiek nowoczesny nie lubi słowa zależność. Przez wieki uniezależnił się od natury, ujarzmił ją. Udało się. Natura jest w odwrocie, bezbronna wobec ludzkiej przemysłowości i zachłanności. I dopiero teraz, świętując swe zwycięstwa, człowiek z przerażeniem odkrywa, że nie może bez niej żyć.

Mówienie o rosnącej roli sektora usług, o „odchodzeniu” od przemysłu jest mylące. Gospodarka usługowa to jakby kolejne piętra. Wieżowiec rośnie, piętra zajmują coraz więcej przestrzeni. Wszystko jednak opiera się na parterze i na fundamentach. Wciąż budujemy domy, drogi i mosty, produkujemy samochody, komputery, rafinerie i inne urządzenia. Mimo wdrażania energooszczędnych technologii, w sumie zużywamy coraz więcej, a nie coraz mniej energii i materiałów. Wciąż potrzebujemy jeść, pić i oddychać. A nas, ludzi, także stale przybywa.

Skoro nasza gospodarka opiera się na kapitale naturalnym – na tym, co bierzemy od Ziemi, od Słońca, od innych żywych istot; skoro już wiemy, że wbrew temu co nam się przez wieki wydawało, ów kapitał nie jest niewyczerpalny – warto się zastanowić, jak tym kapitałem gospodarujemy.

Ta wiedza może ściąć z nóg. Jeśli spojrzymy na bogactwa naturalne jak na aktywa przedsiębiorstwa „ludzkość” (choć właściwie powinniśmy myśleć kategoriami przedsiębiorstwa „życie na Ziemi”), to widać, że te aktywa topnieją w coraz większym tempie. Eksploatujemy surowce mineralne, które powstawały przez miliony lat; wyczerpujemy zasoby wód głębinowych; zanieczyszczamy wody gruntowe i doprowadzamy do obniżania się ich poziomów (m.in. przez karczowanie lasów i zadrzewień oraz melioracje); spuszczaemy ścieki do oceanów, rozlewamy na nich ropę i powodujemy powstawanie pustyń głębinowych; zmieniamy skład atmosfery, prowokując rozchwianie klimatu we wszystkich strefach; zmieniamy kod genetyczny żywych istot, a owe mutacje rozprzestrzeniają się w o wiele szerszej skali niż nam się wydawało; bezpowrotnie zużywamy żyzną warstwę gleby (zbyt intensywne rolnictwo plus praktyki nasilające erozję); wprowadzamy do obiegu coraz to nowe substancje chemiczne, z którymi przyroda i nasze własne geny nie wiedzą, co zrobić; zagarniamy coraz większe tereny

i zaburzamy równowagę w ekosystemach – efektem jest „wielkie wymieranie”: prawdopodobnie nigdy jeszcze w dziejach Ziemi nie zniknęło w tak krótkim czasie tak wiele gatunków; w rezultacie pękają łańcuchy pokarmowe, złożone społeczności roślinno-zwierzęce ulegają degradacji. Wiele z tych zmian jest już nieodwracalnych – możemy w najlepszym razie zahamować dalsze szkody.

Trwonimy kapitał naturalny, jakbyśmy mieli być ostatnim pokoleniem żyjących, jakbyśmy chcieli pospieszenie zlikwidować interes na planecie Ziemia i przenieść się gdzieś indziej. *Wygląda to tak, jakbyśmy podjęli wspólną decyzję, by uznać życie na tej planecie za niechciane zjawisko, które należy co rychlej zlikwidować* – pisze David Korten, który w książce *Świat po kapitalizmie* porównuje funkcjonowanie ludzkiej gospodarki z funkcjonowaniem systemów przyrodniczych i wskazuje na istotne różnice. Najważniejsza z nich jest następująca: między poszczególnymi elementami systemów żywych panuje dynamiczna równowaga; osłabienie całości hamuje ekspansję populacji, co z kolei umożliwia odrodzenie środowiska. Takie ujemne sprzężenie zwrotne nie występuje w gospodarce podporządkowanej logice pieniądza i umożliwiającej przepływ kapitału ponad granicami.

Pieniądz inwestorów musi się stale mnożyć, a to wymaga uruchamiania coraz to nowych zasobów kapitału naturalnego, to w jednym kraju, to w innym. Kapitał finansowy wciąż narasta, podczas gdy topnieje kapitał naturalny, którym tamten się żywi. W świecie przyrody takie zjawisko ma tylko jedną analogię: nowotwór złośliwy. Komórki rakowe mnożą się bez ograniczeń, niepomne, że kiedy wyeksploatują cały organizm, zginą wraz z nim.

Inne gatunki istot żywych oraz tak zwane społeczeństwa prymitywne żyją tylko z „odsetek” od kapitału naturalnego. My dobraliśmy się do samego kapitału. Na tym właśnie polega nasz pozorny dobrobyt. *Kapitalizm w takiej postaci, w jakiej jest praktykowany, to finansowo opłacalna, [lecz] niemożliwa do utrzymania aberracja rozwoju ludzkości [...]. Likwiduje on swój kapitał i nazywa to dochodem. Nie kwapi się przypisać jakiegokolwiek wartości największym zasobom kapitału, z jakich korzysta – zasobom naturalnym i systemom żyjącym, ani też systemom społeczno-kulturowym, będącym podstawą kapitału ludzkiego* – piszą Paul Hawken oraz Amory i Hunter Lovinsowie w książce *Natural Capitalism*. Każdy, kto kiedykolwiek miał choćby skromne oszczędności wie, że ten kto upłynnia i wydatkuje swój kapitał, zamiast żyć tylko z tego, co na nim na bieżąco zarabia, znajduje się na prostej drodze do bankructwa.

Dlaczego większość uczonych ekonomistów nie bierze tego pod uwagę? Starannie pomijają oni w swych rachubach *niezbędne do utrzymania życia usługi ‘świadczone’ przez żywe ekosystemy: zapylenie roślin, zapobieganie powodziom, wytwarzanie żyznej warstwy gleby, produkcję tlenu, metabolizm substancji odpadowych itd.*”, jak wymienia Paul Hawken w swej wcześniejszej książce *Ecology of Commerce* (wyd. pol. pt.

Przez zielone okulary). Co się kryje za tym uporczywie powtarzaniem przeoczenia u ludzi skądinąd bardzo inteligentnych i skrupulatnych? Odwieczny pewnik, że zasoby naturalne Ziemi są niewyczerpane? A może skrajna nieodpowiedzialność, która pozwala zakładać, że pewne koszty można przerzucić na innych i więcej o nich nie myśleć?

Nieodpowiedzialność taka nie jest aberracją, zwyrodnieniem nierzetelnych jednostek wśród ogółu uczciwych biznesmenów. Jest ona wręcz wymagana od prezesa korporacji, dowodzi Joel Bakan, prawnik i autor wydanej w 2004 r. szokującej książki *The Corporation* (wyd. pol. pt. *Korporacja. Patologiczna pogoń za zyskiem i władzą*). Kierownictwo spółki akcyjnej odpowiada bowiem, w myśl prawa, wyłącznie za pomnażanie majątku udziałowców. Im więcej, tym lepiej. Szkody wyrządzone innym ludziom, ekosystemowi, przyszłym pokoleniom ma prawo brać pod uwagę tylko wtedy, gdy ktoś wyegzekwuje od niego odszkodowanie, i to też tylko wtedy, gdy owo odszkodowanie przekracza zysk osiągnięty dzięki „ścianianiu zakrętów"! Oto „przywództwo” i „odpowiedzialność” wielkiego biznesu, motoru naszej gospodarki.

Wolny handel, zniewoleni ludzie

Teoria liberalizmu głosi: każdy jest wolny. Nieograniczona wolność dla wszystkich! Praktyka liberalizmu mówi natomiast: masz tyle wolności, ile pieniędzy. Nie bez powodu eksperci od motywacji oraz ci, którzy się koncentrują na karierze, tak często powtarzają: „Pieniądze dają wolność”. Dziś możliwości człowieka zdają się być nieograniczone. Jeśli ma się za co, to można kupić wszystko (niektórzy twierdzą, że włącznie z miłością i wyborami parlamentarnymi czy prezydenckimi; Greg Palast analizuje amerykański system wyborczy w książce pod ironicznym tytułem *The Best Democracy Money Can Buy* – Najlepsza demokracja, jaką można kupić za pieniądze). Programy socjalne topnieją. Państwo stopniowo zrzuca się swych prerogatyw i odpowiedzialności na rzecz sektora prywatnego. Wszak rynek wszystko reguluje efektywniej. *Nic za darmo!*, grzmi Milton Friedman. Czyż nie jest słuszne, że z czasem każdy będzie płacił za siebie?

Kto nie ma nic, nie skorzysta nawet z tych praw, które ponoć mu przysługują. Przed dwudziestu laty Janusz A. Zajdel, nieżyjący już pisarz science-fiction napisał powieść *Paradyzja*. Na sztucznej planecie, nieprzypadkowo noszącej imię raj, każdej jednostce ludzkiej przysługuje pełnia praw człowieka. Tyle, że nie każdy jest w pełni jednostką ludzką. Władze prowadzą ścisłą ewidencję pro- i antyspołecznych postępów poszczególnych osób i na bieżąco oceniają poziom ich człowieczeństwa (według własnych kryteriów). Pół-ludzie czy ludzie w 85 procentach są kierowani do kopalni uranu...

W systemie rynkowym o tym, kto ma szansę korzystać z pełni praw i możliwości nie decydują wścibskie władze. Decyduje „niewidzialna ręka” rynku, obiek-

tywne prawa ekonomii. Czyż nie jest racjonalne, żeby kapitał trafiał w ręce tych, którzy potrafią nim produktywnie obracać?

Prywatna własność i swobodny przepływ kapitału ma gwarantować optymalną (czytaj: maksymalnie produktywną) alokację zasobów. Jedno z podstawowych założeń współczesnej ekonomii: to rynek określa wartość. Innymi słowy: tylko to jest coś warte, co można sprzedać; warte jest zaś tyle, ile ktoś za to da. Rzeczy jednakowo wyceniane przez rynek są jednakowo wartościowe. Ekologia mówi inaczej: las ma swoją wartość niezależnie od tego, czy ktoś uważa go za cenny, czy za nieużytek.

Jeśli wytniesz las a drewno sprzedasz po rynkowej cenie, ekonomista powie, że zrobiłeś dobry interes: zamiast lasu masz jego równowartość pieniężną, która, dobrze zainwestowana, będzie rosła szybciej niż las. Ekolog powie, że zabiłeś kawałek siebie (i mnie), bo wszystko jest powiązane. Utraconego życia tysięcy gatunków oraz harmonijnej symbiozy między nimi nic nie zastąpi. *Kiedy wytniecie ostatnie drzewo, zatrujecie ostatnią rzekę... przekonacie się, że pieniędzy nie można jeść*, ostrzegął przed ponad stu laty wódz Seattle, już wtedy zaszokowany sposobem gospodarczego myślenia białego człowieka.

Tradycyjne społeczeństwa ograniczały zakres własności prywatnej. Można było mieć swój dom, swoje narzędzia, swój żywy inwentarz. Jednak zasoby, od których zależał byt całego plemienia, uważano za własność wspólną. Wszyscy członkowie danej wspólnoty mieli prawo z nich korzystać – o tyle, o ile nie uniemożliwiali tego innym. Niszczenie dobra wspólnego (np. nadmierne wypas) było przestępstwem przeciwko społeczności. Ideę ziemi i jej płodów jako dziedzictwa wszystkich można odnaleźć m.in. w Biblii. Starotestamentowe przepisy nakazywały rolnikom pozostawiać część owoców na krzakach i kłosów na polu, aby przechodzień mógł się pożywić. Indianom aż po czasy wodza Seattle nie mieściło się w głowach, jak ziemia może być czyjąś prywatną własnością: *Ziemia nie należy do człowieka. To człowiek należy do ziemi*.

Fritjof Capra zwraca uwagę w *Punkcie zwrotnym* na etymologię słowa *prywatny*. Samo to słowo *pochodziło z łacińskiego „privare” – pozbawiać (kogoś czegoś), co oddaje sens powszechnego niegdyś przekonania, że własność najpierw i przede wszystkim należy do wspólnoty*.

Praktyka gospodarcza i prawna Zachodu (a w ślad za nią idzie dziś cały „rozwijający się” świat) zatraciła ten instynkt. Wszystko jest na sprzedaż. Wszystko można „zagospodarować” (notabene, w języku angielskim zagospodarowanie określa się słowem *development* – tym samym, które znaczy: rozwój). Wszystko jest zbywalne; wszystko, co ktoś chce od nas kupić, możemy spieniężyć.

Bywały epoki, w których „wszystko” obejmowało nawet samego człowieka. Kto nie miał nic poza długami,

mógł jeszcze sprzedać... samego siebie, jako niewolnika. Albo swoje dziecko (w pewnych częściach świata i dla pewnych klas ludzi epoka niewolnictwa trwa do dziś – nie tylko na plantacjach kakao i kawy na Wybrzeżu Kości Słoniowej czy w Sudanie, ale także w światku handlu kobietami w sercu Europy).

Powszechne i niezbywalne

Po wiekach doświadczeń – tyranii, ucisku, wojennych okrucieństw – ludzie doszli do wniosku, że każdemu człowiekowi, niezależnie od urodzenia i życiowych przypadków, należą się jakieś podstawowe prawa. Że w interesie wszystkich będzie poszanowanie praw każdej osoby. Rewolucja francuska i amerykański Bill of Rights ogłosiły, że każdy człowiek rodzi się wolny. Po nazistowskim koszmarze Narody Zjednoczone podpisały się pod Powszechną Deklaracją Praw Człowieka, której preambuła stwierdza, że *uznanie przyrodzonej godności oraz równych i niezbywalnych praw wszystkich członków wspólnoty ludzkiej jest podstawą wolności, sprawiedliwości i pokoju świata*.

Liberalizm funkcjonował już wcześniej. Nowość tego, o czym mówi deklaracja, polega właśnie na tym, że prawa człowieka określone są jako NIEZBYWALNE. Nie wolno człowieka pozbawić tych praw, ani siłą, ani za jego zgodą (np. pod presją biedy lub szantażu). Pojawia się też wyobrażenie ludzkości jako wspólnoty – toż to początek myślenia ekologicznego, systemowego! *Prawdziwie wywrotowym elementem w ekologii nie jest żadna z jej wyrafinowanych koncepcji, lecz jej podstawowe założenie: wzajemne powiązanie wszystkiego* – pisał Neil Everndon w *Beyond Ecology*.

Powszechna Deklaracja wylicza w trzydziestu artykułach owe równe i niezbywalne prawa, formalnie uznane przez wszystkie państwa – członków ONZ. Na pierwszym miejscu – *prawo do życia, wolności i bezpieczeństwa swej osoby*. W pewnych warunkach to prawo staje się prawem martwym.

Co z tego, że nikt do ciebie nie strzeli, jeśli „niechcący” zatruje powietrze, którym oddychasz? Jeśli „z oszczędności” albo z braku lepszego pomysłu wypuści do środowiska chemikalia bądź substancje radioaktywne, które zwiększą o kilkaset procent zachorowalność na raka i liczbę zdeformowanych noworodków? Jeśli, wypalając lasy i propagując paliwa kopalne po cenie wydobycia wywoła katastrofalne zmiany klimatyczne? To nie teoria. To Love Canal, Czernobyl, Bhopal, a także... okolice zakładów petrochemicznych, nadajników radiowo-telefonicznych i autostrad na całym świecie. To tsunami w Azji i Nowy Orlean pod wodą. To prywatyzacja deszczówki w Cochabambie i eksport wody w kontenerach. To międzynarodowy handel prawami do zanieczyszczania. Każdy kraj ma prawo truć, może również to prawo odprzedać komuś, kto dobrze zapłaci. Czy w takim razie prawo poszczególnych ludzi do życia nadal pozostaje niezbywalne?

Czasy globalizmu. Ci, którzy podejmują decyzje, są daleko. To nie ich las ginie, to nie ich ziemia zostaje zatruta. W swoich posiadłościach mają świeże powietrze i nieskażoną zielen. I mogą spokojnie kalkulować, co korzystniejsze: ochronić kilka tysięcy ludzi przed skutkami ubocznymi ich działalności, czy zredukować koszty produkcji. W autentycznym przypadku, opisywanym przez Bakana, firma General Motors przeprowadziła rachunek korzyści i kosztów, z którego jasno wynikało, że opłaca się wprowadzić w samochodach konstrukcję, która zwiększy liczbę śmiertelnych wypadków wskutek wybuchu zbiornika paliwa. Po odjęciu kosztów odszkodowań dla rodzin ofiar, GM i tak zaoszczędziło po sześć dolarów na każdym samochodzie! W trakcie procesu, wszczętego przez ofiarę, która cudem uszła z życiem, w obronie koncernu wystąpiła Izba Handlowa. Argumentowano, że przedsiębiorca powinien się kierować rachunkiem ekonomicznym, a nie sentymentami. Niezbywalne prawa człowieka...?

„Eksperci” i „wolne” media robią wszystko, aby wolność człowieka i wolność handlu, wolność inicjatywy i działalności gospodarczej wydawały nam się zgodne, wręcz tożsame. W powodzi głosów jednomyślnie sławiących ową złotą wolność i „wolny rynek” rzadko można usłyszeć głos przypominający oczywistą prawdę: nieskrępowane korzystanie z wolności przez silniejszych ogranicza wolność innych, nieraz redukuje ją do wąskiego zakresu trywialnych wyborów przy braku wpływu na sprawy decydujące o życiu i śmierci. Tyle wolności, ile pieniędzy... Ile wolności masz ty, a ile korporacja Monsanto?

Nieczęsto też słyszy się, że drugą stroną medalu wolności jest odpowiedzialność. Bez odpowiedzialności wolność prowadzi do nadużyć. Prawa człowieka stają się martwą literą. A przecież korporacja, potężna niczym państwo, odpowiada tylko przed akcjonariuszami...

Jeśli ludzie kierujący biznesem nie myślą – nawet nie wolno im myśleć – o świecie jako całości; jeśli w ich rachunkach nie ma istotnej różnicy między światem żywym a światem martwym; jeśli eksperci ekonomiczni zakładają, że dobrobyt społeczeństwa jest sumą zysków pieniężnych poszczególnych podmiotów gospodarczych oraz chwilowych korzyści materialnych poszczególnych obywateli; jeśli rządy coraz chętniej zrzekają się odpowiedzialności, powtarzając slogan, że „rynek wszystko wyreguluje” (powołują się przy tym na Adama Smitha, teoretyka wczesnego kapitalizmu, a zapominają że jego tezy opierały się na założeniach, które zglobalizowana gospodarka dawno już przestała spełniać) – pora zdać sobie sprawę, że tym statkiem nikt odpowiedzialnie nie kieruje. Kapitan jest pijany, oficerowie grają w karty a załoga posnęła ze zmęczenia. Przed nami rafy. Jeśli je widzisz, zrób coś, choćby ci się wydawało, że to nie twoja sprawa; że jesteś tylko zwykłym pasażerem.